

Kiedy naród płacze

5 czerwca 2008

Ranek zwyczajny, włączam się do sieci, robię prasówkę. Gazeta w zasadzie poważna, wiadomości z ostatniej chwili, przepisuję tak, jak widzę: 10:54 Specnaz strzelał do Litwinienki za zgodą Kremla; 10:39 Frodo dostał burę; 10:27 David Beckham pozuje do zdjęć jako książe; 10:00 Rok temu runął dach hali w Katowicach; 09:59 Jan Mazoch zdrowieje i pyta o dziecko. Mysz-masz i groch z kapusta. Priorytety? Czy mamy jeszcze jakieś priorytety? Wszystko jest ważne. Nic nie jest ważne. Tak, jak mówił mi Zygmunt Bauman w 1987 r., kiedy pierwszy raz po latach przyjechał do Polski. Że wolność w demokracji na tym polega, że wszystko można napisać, lecz nic nie jest ważne. Wtedy mu nie wierzyłam. Teraz wierzę. A czytam wciąż różne napisane słowa – chyba z głębokiego, peerelowskiego przyzwyczajenia i wiary, że słowo ma moc.

* * *

Więc w „Wyborczej” czytam historię zwyczajną, na pęczki takich w naszej dumnie, z rzymska, numerowanej Rzeczypospolitej.

Mieszkańcy bloku na warszawskiej Pradze Północ mieli za oknami drzewa. W 1963 r. sadzili te drzewa z sąsiadami. Trzy pokolenia dzieci wychowały się na tym podwórku, gdzie był plac zabaw, kwiaty, ławeczki. Teraz mają w tym miejscu budowę i dźwig, którego się boją. Drzewa poszły pod topór, z podwórka został jakiś ogryzek i śmiecie. – Drzewa ścięli szybko, na chama – żali się mieszkańiec bloku. Nie widział tego, bo córka wywiozła go na działkę, żeby się nie denerwował. – Cała ulica nam współczuje z powodu tej wycinki i budowy. Kiedy drzewa szły pod topór, ludzie płakali – opowiada jedna z mieszanek.

Wspólnota czuje się pokrzywdzona i próbuje zatrzymać budowę. Nikt jej nie informował o inwestycji. Nie została uznana za stronę w postępowaniu administracyjnym, bo nie dotrzymała terminów. Nie złożyła na czas potrzebnych dokumentów. Ale

protestuje dalej. Chce, żeby sprawą zajął się prokurator i wyjaśnił, na jakiej podstawie działka została przekazana w prywatne ręce. Ale budowa jest legalna. Zanim urzędy rozpatrzą kolejne protesty i skargi sąsiadów, nowy blok stanie. Mieszkańcy, wracając do domu, mają nad głowami ramię wielkiego dźwigu, czasem jego przeciwwagę, czyli „megaciężarek”. Boją się, że kiedyś runie, kogoś zabije albo spadnie na dach i rozwali ich blok z lat 60. Ściany w nim pękają, tynki i balkony też. Najbardziej boi się kobieta z siódmego, ostatniego piętra.

Wspólnota wysłała skargę do nadzoru budowlanego. Kierownik budowy pokazał tam wszystkie potrzebne dokumenty, łącznie z „Instrukcją obostrzonych warunków pracy żurawi w kolizyjnej lokalizacji na budowie”. Zapewnił, że jest bezpiecznie i że nawet daszku między budową a dojściem do bloku nie musi stawiać. A zdziwiony pretensjami zawyrokował, że jeśli ludziom ze wspólnoty tak zależało na tym placu i drzewach, to mogli go przecież kupić. I byłby ich.

Pewnie. Działka była kiedyś dzielnicowa. Potem dzielnica ją sprzedała jednemu przedsiębiorstwu, to sprzedało ją kolejnemu. Mam! Moje! – powiedziało przedsiębiorstwo. – Mogę z tym robić, co chcę! A ludzie z bloku nawet o tym nie wiedzieli. I nawet gdyby mieli kasę, nie mieli szansy.

Ktoś płacze. Ktoś się boi. Ktoś ma pieniądze. Ktoś nie ma pieniędzy. Wszystko jest ważne. Nic nie jest ważne.

* * *

Parę dni temu usłyszałam pod oknem mój ulubiony dźwięk. Pilarkę do betonu. Wyjrzałam, zobaczyłam ekipę, która układała jakiś betonowy podest. Jeszcze pięć lat temu zadzwoniłabym do urzędu gminy, obdzwoniłabym sąsiadów, napisalibyśmy protest, później odwołanie do stosownego kolegium, potem następne. Domagalibyśmy się – po pierwsze, po drugie i po trzecie – żeby nas, mieszkających w bloku, poinformowali, że ktoś ma jakiś

plan wobec kawałka ziemi pod naszym oknem, że chce tu coś postawić. Wyrazilibyśmy swoje opinie. Część na pewno byłaby krytyczna. Ale ponieważ mieszkamy tu, gdzie mieszkamy, ten kto chciał coś zbudować, wziąłby to pod uwagę i za jakiś czas to coś – może w nieco zmienionym kształcie – by powstało. Po uczciwej konsultacji z nami. Konsultacji nie ma. Mieszkańców zwykle traktuje się jak pieniaczy, którzy – a fe! – chcą czegoś dla siebie. I nie rozumieją, że inni chcą dla nich dobrze. Po jakimś czasie odechciewa się im domagania, żeby ich opinia była brana pod uwagę.

* * *

Narodu nikt nie pyta o zdanie – tak skrótowo wyraziła istotę systemu przed 1989 rokiem jakaś wschodnio-niemiecka dziewczyna, którą reporter zachodniej telewizji zapytał o coś na ulicy tuż przed zburzeniem Muru Berlińskiego.

Naród to nie tylko to coś, co chodzi lub nie chodzi na wybory i wrzuca lub nie wrzuca kartki do urn. Naród to ten stary pan, co płacze, bo ścięli drzewo pod jego oknem i ta pani z siódmego piętra, która boi się dźwigu.

* * *

W styczniu, podczas spotkania w Natolinie na temat eurokonstytucji, były francuski minister spraw zagranicznych, Hubert Védrine, powiedział uczciwie mniej więcej tyle, że tak naprawdę do stworzenia konstytucji UE parły elity polityczne, podczas gdy obywatele wcale tego nie oczekiwali. Oni oczekiwali – i nadal oczekują – czegoś praktycznego. Elity zapadły na instytucjonalną obsesję, a ludzie chcą konkretów.

Tak może powiedzieć były minister. Urzędujący – nigdy w życiu. Ale ja nie jestem urzędującym ministrem i mogę się upierać przy swoim. Ludzi należy pytać o zdanie. Priorytetem jest to, że ktoś płacze. I że ktoś się boi.

* * *

Skala mikro. Skala makro. Świat jest jeden. I my jesteśmy tutaj – chyba – tylko ten jeden raz. Więc może jednak obdzwonię sąsiadów w kwestii tej pilarki.

Autor: Anna Mieszczanek

Źródło: [„Obywatel”, nr 2 \(34\) 2007](#)